



Maciej Woźniak (ur. w 1969 r.) – poeta, krytyk muzyczny, felietonista. Publikował m.in. w: „Tygodniku Powszechnym”, „Twórczości”, „Odrze”, „Literaturze na Świecie”. Pracował w legendarnym sklepie muzycznym „Helicon” w Warszawie. Tłumaczył eseje muzyczne i wiersze Philipa Larkina oraz poezję Elizabeth Bishop i Edny St. Vincent Millay. Autor książek poetyckich: „Srebrny olówek” (1998), „Iluminacje. Zaćmienia. Szarość” (2000), „Obie strony światła” (2003), „Wszystko jest cudze” (2005), „Iluzjon” (2008; nominacja do Nagrody im. Józefa Czechowicza), „Ucieczka z Elei” (2010; nominacja do Nagrody Literackiej Gdynia) i „Biała skrzynka” (2012). Tłumaczony na niemiecki, angielski, włoski, francuski, litewski, słowacki i słoweński. Mieszka w Płocku.

# Maciej Woźniak Tamburyn z człowiekiem



## Rubajāt z marzannami

Spywajcie marzanny, marzanny,  
czarny korku, wynocha z wanny,  
teraz mówcie się do mnie,  
kočki, bočki, hosanny.

## Wiatr od Wisły

Zimny wiatr od rzeki, dreszcz jakby nanizal  
na drut silniki barek i każde pióro z trzepota  
fal między kamieniami, metaliczny popiół,  
z którego ptaszysko dnia raptem się zrywa

w mistycznej epilepsji, kiedy powoli podchodzę  
ku własnej twarzy gdzieś ze środka głowy,  
jak panna młoda podchodzi ku welonowi  
i całej mgłę patykami pisanej na wodzie,

mimiką wpisanej w rejestr łatwych przyrzeczeń  
i pochopnych zaufań, przy tych zaślubinach  
mają się ocknąć grubsze blaszki tamburyna  
potrząsającego mną, swoim człowiekiem.

## Trybut

Którąś zimę z kolei przylatuje na orzech  
za oknem, pod czarnobiałymi

skrzydłami, jakbym je widział w telewizorze  
Ametyst, tym od podróży za jeden uśmiech

i „Teleranka” z generałem, mruga czerwonym brzuskiem  
jak szminka ciotki Ani, pocałowana kiedyś ukradkiem,

i stuka: szej-mus hi-ni, szej-mus hi-ni  
w nie-herbertowską, polirytmiczną kołatkę.

## Madrygał

Zamykam drzwi. Biorę cię za rękę. Śnieg na ścieżce  
polyka nasze kroki. Przytrzymuję w płucach  
pierwszy zimny oddech, żeby za furtką  
zobaczyć, jak znika na tle lasu. Na słupkach siatki  
przysiadło kilka gawronów. W habitach? Czy w brudnych  
od ropy kombinezonach, jakby na chwilę  
wyszły z maszynowni świata? Wyblakła wólcza  
z kłębka nad horyzontem strzepi się na ostrych  
od mrozu krawędziach. Przymykam oczy: jasne kosmyki  
pelzają po szklarni za wałem, po daszku stacji pomp,  
gdzie pijany stróż zasnął kiedyś na węglowej kozie  
i amputowali mu ramię, po twarzach dzieci z sankami  
na zamrażonym stawie, po ugiętych od śniegu  
gałęziach. Nie patrzę na to. Trzymam to za rękę.

## Bielino, Liszyno, Słupno

Smarowidło w żółtej tubce, wpuszczam kroplę w każde z ogniw,  
kręcąc wolno wstecz łańcuchem, jakbym karmił stado piskląt,

chowasz sweter pod bagażnik i podwijasz doły spodni,  
od zachodu słychać burzę, nie przepawi się nad Wisłą.

Stery gazu z cukrownią, chucha smrodem z odstojnika,  
ale zaraz na jaszczurczy grzbiet nas bierze stara szosa,

przy rozjeździe koło szkoły rząd gospodarstw miękko znika,  
krowie łąki żują przestrzeń, zakręt drogi ginie w kłosach,

kilka potem brzęczy w szprychach aż do mostku na Słupiance,  
sterczy ulamana poręcz, słońce klepie na przyczepach

i na dachach starą blachę, tnie kontury wierzb, a lancet  
trzyma swoją lewą stopą, potem nago wchodzi w rzepak

jak w majowy przypływ. Iskrzą... chyba sprzączki od tornistrów  
dwójki dzieci pod Wykowem. Jeśli patrzę na stronę drogi,

może mrugnie im nasz błotnik albo rama. W każde z ogniw  
tylko kropla z żółtej tubki. Cisza. Głucho grzmi za Wisłą.

## Piątka z rybakami

*Wiara zaś jest poręką tych dóbr,  
których się spodziewamy.*  
List do Hebrajczyków 11,1

Proszę państwa do czasu – mówi mistrz z okienka,  
drukując wyrok: trzydzieści lat z hakiem  
ciężkiej wiary, z przepustką w niedziele i święta  
do życia doczesnego. Obchodzona smakiem

reguła podniebienia. Fachowo przypięta  
do umowy biurowym spinaczem  
twarz groszozroba i dni od poczęcia  
wyskrobywane złą łyżką. Pięć złotych z rybakami

jest coraz więcej warte, odkąd wycofane  
z brzęczącego obiegu. Biorę je z szuflady,  
jakbym przybijał jakąś chrystusową

piątkę z ciałem. Ciało dało słowo,  
że całe się obróci w proszek oranżady,  
przed którym usta klęczą, dusza śpiewa, amen.

## Stary Jankowski wzdycha

ze Wisła zrobiła się mialka. Nurt stęzał,  
od Dobrzykowa krztusi się piachem mielizn i brnie  
w mewich wysepkach, latem przy starej  
rozmytej ostrodze cumuje w bezrybnym oku. Akurat tam,  
gdzie wlewała w usta szmaragdowy zajzajer i lubiła tańczyć  
boso na przelewie, pletwami sandaczy czesać mokre włosy.  
Była kochanką Boga, ale wraca do męża.

## Kaszel na Młocinach

*Tam Wisła właśnie zakręca  
ku Dobrzykowi,  
ku Warszawie [...].*  
W. Broniewski

Kaszel taty...? Z daleka trudno poznać, czy jeszcze  
po Klubowych, czy już po Mocnych. Płynął z Płocka

Wisłą przez Broniewskiego zawróconą wierszem,  
młodsza tutaj o 100 kilometrów. W kaszlu troska

o pozrywane na dnie najcenniejsze błystki,  
bo czym jest się sobie nawzajem? Powiedz, jak rdzewieć

– prosi głos niesiony w sztafecie przez wszystkich  
nałogowych wędkarzy wzdłuż rzeki, a czerwiec

bywa rano najszybszym tartanem. W takim życiu, tato,  
zażywany jak lecznicza kąpiel w coca-coli,

nie miałbym którejś cię słyszeć, bliźszego szczupakom  
spod Rydzyna i karasiom z liszyńskiej łachy niż okolic

objętych abonamentem, wybrukowanych  
dobrymi impulsami, ze szczegółowym bilingiem

tego szczęścia, w którym, zdaje się, obaj byliśmy sami,  
tylko każdego inaczej kusil cyngiel

braku zasięgu. Sponad topól na drugim brzegu  
wystają betonowe opłatki Białoleki

i jeden po drugim komunikują niebu,  
że chętnie się rozpuszczą. Ale powiedz, czy błękit

znajdzie takie usta, żeby przestało zawzięcie  
przepychać rzeczy przez karteżniańskie ucho, zawsze

igielne jak komora celna, a częściej  
odezwowało się ludzkim czymkolwiek, choćby kaszlem.

## Ochrona przed potem

to zostanie w przedtem. Wstawianie w panienkę  
okienka na stronę, skąd się nic, tylko zanosi  
jak na tacy frunącej na uprzejmych opuszkach.  
Smakowi słów w menu nie dorówna  
smak tego, co znaczą. Klikaniu w ikonę  
żadna nie dorówna dłoń. W przysznicu po  
czeka winda z powrotem. Do tej, którą  
jest się w przedmowie, w tak starannej przedskórce,  
że rozczarowanie przy dalszej lekturze  
może być tylko konieczne. Jest chłód  
w tubkach refektarza u sióstr antyperspirantek  
i jest ślub: jeszcze nie ten puka, komu  
otworzą, a komu otworzą, już nie ten.

## Kartka od Mirona

czyście wyście powariowaliście  
żeście  
w taki się wzięli wielosłów

dwa złoby: jest i jesteś  
czynią osłów

wy (ciało z konturu kontuaru) czyściec

## Bógwiecość

Gdzie ty jesteś, świecie, gdy cię nie uświadczam,  
a słowa mi mówią, że są właśnie tobą?  
Lecz mówić to nie być, a wierszom już zwłaszcza  
zdarza się nie trafiać do świata, lecz obok.

Do klamek bez domu, w których kwitnie mosiądz  
i człowiek szeleści swoim własnym świstkiem,  
więc go na obchodzie dają wniebogłosom,  
żeby w ich łacinie mógł się ciut doistnieć.

Bo rzecz powiedziana trochę mniej jest rzeczą,  
taki bilet działa jak z siebie przepustka,  
uchylając bramy w bezelową bógwiecość.  
Gdzie ty jesteś, świecie, kiedy jesteś w ustach?